



# HAZIRLIK NİSİZLİK KAYIPLAR



LİTERATÜR

## Historie nie z tego księżyca

© by Wydawnictwo Literatura

*Okładka i ilustracje:* Anna Pawlina

*Redakcja:* Agnieszka Hałubiec

*Korekta i skład:* Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

Łódź 2021

ISBN 978-83-8208-020-9

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
[www.wydawnictwoliteratura.pl](http://www.wydawnictwoliteratura.pl)



Zakupy! – zawołał z ekraniku na ścianie nasz wirtualny menedżer gospodarstwa domowego, którego nazywaliśmy Albertem.

Nie ruszyłem się z miejsca, bo i po co, skoro rodzice byli w domu.

– Problemy ze słuchem? – zrzędził Albert.

Najwyraźniej wyliczył współczynnik zajętości dla poszczególnych domowników i wyszło mu, że to ja jestem najbardziej wolny. Widocznie granie w FIFĘ 2185 uznawał za mniej pilne niż pracę po godzinach i zdalne podlewanie pomidorów na działce. Nic dziwnego, zważywszy, kto mu ustawiał parametry.

– A wydadzą mi? – spytałem z powątpiewaniem. – Nie mają blokady przed dziećmi?

– Plotki – mruknął Albert i zagroził, że za pięć sekund wyłączy mi FIFĘ.

Zszedłem na dół i otworzyłem drzwi. Na lądowisku przed domem stał dron zakupowy. Stał i czekał. Ja też czekałem i przez dłuższą chwilę nic się nie działo.

– Halo! – krzyknąłem w końcu i podskoczyłem, machając rękami.

Dron obniżył obiektyw kamery i powiedział ciepłym kobiecym głosem:

– Zamówienie 145.

Spojrzałem za siebie, czy nie ma w pobliżu któregoś z rodziców, ale nie było, więc pomyślałem, że sam spróbuję.

– Korkowiakowie – wysilonym basem podałem nasze nazwisko.

Zamrugało pomarańczowe światełko, zaskrzypiała metalowa roleta i z brzucha drona na taśmociągu wyjechał spory karton. Wieloprzegubowe ramię z hydraulicznym chwytakiem przeniosło pudło na schodki i postawiło u moich stóp.

– Potwierdzam odbiór – powiedziałem dorośle.

Dron podziękował, schował odnóża i odleciał.

Zostaliśmy sami – pakunek i ja. Schyliłem się, żeby wnieść go do środka, i dopiero w ostatniej chwili sobie przypomniałem. Promieniowanie! No przecież!

Sięgnąłem ręką w głąb przedpokoju po stary trampek wiszący na haczyku przy drzwiach i przyłożyłem podeszwę do wieczka kartonu. Zadowolony odwiesiłem but i przymierzyłem się do ciężaru. Stęknąłem. Ledwie oderwał się od ziemi. Wrócił na miejsce z cichym brzęknięciem.

– Tata! – wrzasnąłem w stronę otwartych drzwi. – Zakupy przyleciały! Ciężkie są! Pomożesz?

Usłyszałem szurnięcie krzesła i w przedpokoju pojawił się mój ojciec. Odruchowo zdjął but z haczyka i wyszedł na schodki. Kiedy mu powiedziałem, że już zbutowane, pokiwał z uznaniem głową. Podniósł pudło z taką łatwością, jakby było wypchane pierzem. Po drodze do kuchni spytałem, co jest w środku.

– Zobaczysz – mruknął tajemniczo.

Po chwili i tak wiedziałem. W kartonie, na słoikach, puszkach i innych produktach spożywczych leżał płaski pakiecik z jakimś sprasowanym ubraniem. Spojrzałem i wykrzywiłem się. Garnitur!

W tym roku wypadały urodziny zielonego dziadka i od paru miesięcy bez przerwy wysłuchiwałem, że muszę na nich wyglądać jak człowiek. Problem w tym, że ja nie zamierzałem robić z siebie głupka.



W szkole znawcy tematu twierdzili, że drony dostawcze programuje się tak, żeby nie obsługiwały niepełnoletnich klientów. Mnie jednak obsłużył. Kiedy więc następnego dnia opowiedziałem o tym Kajtkowi Żakowi, tak się tym przejął, że postanowił natychmiast sam sprawdzić, jak to jest z tą blokadą przed dziećmi.

Wypatrując pizzolotu z okien kuchni Żaków, robiliśmy zakłady: przyleci czy nie przyleci. Kajtek przegrał, ja wygrałem. Automat nie tylko przyleciał, ale przywiózł dokładnie to, o co prosiliśmy – okrągłe, pachnące i gigantyczne.

Po powrocie do domu byłem tak pełny pizzy, że czułem plasterki pepperoni przyklejony do wewnętrznej strony czaszki.

– Nie zgadniecie, co dzisiaj odkryłem! – zawołałem do rodziców już z przedpokoju.

– Że na urodziny zielonego dziadka wypada iść w garniturze? – spytała mama.

– Bardzo śmieszne! – burknąłem i postanowiłem, że za karę nic im nie powiem.

Piętnaście minut musieli błagać, żebym jednak się zgodził. Dłużej i tak już nie dałbym rady wytrzymać.

– Wyobraźcie sobie... – wydzielałem im tę sensację małą srebrną łyżeczką – że zamówiliśmy z Kajtkiem pizzę... i on ją chciał zjeść... bez butowania.



Wbiłem wzrok w twarze rodziców, licząc na skurcze, grymasy i opadnięte szczęki, ale przyjęli to nad wyraz spokojnie.

– Zapomniał pewnie – mruknął tata.

– No właśnie nie! – powiedziałem z przejęciem. – Mówię mu, żeby zbutował, a on na to wielkie oczy. Drony, promieniowanie? Jakby w ogóle pierwszy raz słyszał.

Ojciec z zakłopotaniem potarł brodę. Rozmowa o wstydliwych sprawkach bliźnich bywa krępująca. Westchnął przy tym strapiony i spytał:

– A zdrowy jest?

Nigdy wcześniej nie powiedziałbym o Kajtku, że jest chory. Jednak im dłużej o tym myślałem, tym więcej przypominało mi się niepokojących szczegółów. Alergia na pyłki, wada zgryzu, skrzywienie kręgosłupa, strzykanie w kolanie – wyliczałem to wszystko na palcach, a tata nic nie mówił, tylko podnosił brwi i znacząco kiwał głową.

– Myślisz, że to od niebutowania? – spytałem prawie szeptem.

Widząc, jak bardzo się przejąłem, mama wtrąciła się łagodnie:

– Nie martw się, synku, myślę, że dla Kajtka jeszcze nie jest za późno. Ja zaczęłam butować, dopiero kiedy poznałam tatę. Wcześniej bez przerwy łąpałam jakieś infekcje. A teraz proszę bardzo: okaz zdrowia.

Jeśli myślała, że mnie tym uspokoi, bardzo się pomyliła. Było wręcz przeciwnie.

– Jak to zaczęłaś butować zakupy? – jęknąłem. – A wcześniej? Zanim poznałaś tatę? Kiedy byłaś mała?

Mama uśmiechnęła się jakby zawstydzona, a nawet miałem wrażenie, że trochę się zarumieniła.

– U mnie w domu się nie butowało. Brało się zakupy i już. Dopiero od taty się nauczyłam.

Spojrzałem na tatę. Rozłożył ręce. Z niedowierzaniem pokręciłem głową. Rodzina mamy? Żakowie? W dwudziestym drugim wieku?

– Przecież wszyscy butują! – powiedziałem z pretensją.

Chyba głównie do świata, że nie jest taki, jaki powinien być.



– Wracaj do domu – rzucił instrukcję Kajtek, kiedy wysiadaliśmy na parkingu.

Do szkoły wysyłano nas zwykle jednym autorobotem – raz naszym, raz Żaków. Zatrzasnęliśmy drzwi i ruszyliśmy w stronę wejścia. Za plecami zaszumiał silnik i chlupnęła woda w kałuży. Kajtek kontynuował sprawozdanie z żołądkowych sensacji po wczorajszej pizzy, a ja słuchałem piąte przez dziesiąte i w losowych momentach mówiłem:

– No. Yhm.

Zbliżając się do szatni, poczułem, że coś się święci. Czyjaś wystawiona na korytarz głowa na nasz widok cofnęła się w głąb boksu i kiedy weszliśmy do środka, zastaliśmy komitet powitalny. Na ławeczkach pod obiema ścianami siedzieli Krokiet, Luźny, Franek i jeszcze dwie czy trzy osoby. Wyglądali, jakby na nas czekali.

– Cześć! – zawołali chórem.

Wyciągnąłem rękę do Franka, który akurat siedział najbliżej, i nagle zamiast ciepła jego dłoni poczułem na skórze coś wilgotnego i twardego.



– Hej! – krzyknąłem przestraszony i odskoczyłem na krok.

Spojrzałem na swoje ubłocone palce, potem na Franka, który zgięty w pół zanosił się od śmiechu. W ręce trzymał utaplany w kałuży but.

– Trochę za bardzo świeciłeś – parsknął ledwie zrozumiale.

Żart nagrodzono gromkim rechotem i w tej samej chwili poczułem, że ktoś przytyka mi coś do pleców. Obróciłem się gwałtownie, by kątem oka uchwycić rękę z butem cofającą się od mojej kurtki. Nim zdążyłem się odezwać, ktoś ostemplował podeszwą moją nogawkę, rękaw, kaptur, policzek.

– O, jeszcze tu trochę promieniuje! – słyszałem. – I tu! I tu! I jeszcze na czapce!

Krzyczałem wściekle i oganiałem się od ich butów, ale co mogą dwie ręce wobec kilkunastu?

– Dobrze, Kajtek? – spytał Luźny albo Krokiet. – Tak to się robi?

Kajtek nie butował. Stał z boku z niewyraźną miną i mruczał pod nosem:

– Hej, chłopaki, dajcie spokój. No co wy?

W końcu przestali. Byłem obutowany od stóp do głów i z zabawy najzwyczajniej w świecie uleciał urok świeżości.

– Kretyni – mruknął Kajtek, kiedy zostaliśmy w szatni tylko my dwaj.

Nie potwierdziłem. Nie zaprzeczyłem. Udałem, że nie słyszę. Ten człowiek dla mnie nie istniał. Ostatnie w życiu słowo już do niego powiedziałem.

Kiedy wszedłem do klasy, lekcja już trwała. Na mój widok nauczycielka załamała rękę.

– Krzysiek! – jęknęła. – Gdzieżeś ty się tak uświnił?

Na szczęście jakoś się sprąło. I błoto, i ból upokorzenia, i żal za zdradę. To ostatnie może najgorzej. Brudne plamy wprawdzie zeszły, ale nasza przyjaźń z Kajtkiem już nigdy nie będzie jak nowa.

– Ja tylko opowiedziałem Luźnemu, jak butowałeś pizzę – tłumaczył się żałośnie.

Trudno było mieć o to pretensje. A co, nie butowałem? Butowałem. Przecież wszyscy butują. Tak mi się w każdym razie dotąd wydawało.

Myślałem, żeby jeszcze raz wypytać o tę sprawę rodziców, ale odeszła mi ochota. Domyślałem się, co powiedzą. „Nosisz czapkę w zimie, bo wszyscy tak robią, czy po to, żeby nie zmarznąć?” – coś w tym rodzaju. Szkoda czasu na takie rozmowy. Zamiast tego zamknąłem się w pokoju i usiadłem na łóżku.

– Słuchaj, Albert – powiedziałem. – Sprawdź mi, jak to jest z tym butowaniem, co?

– A co byś chciał wiedzieć? – spytał Albert.

– Wszystko!

Na ekranie wyświetlił się rysunek człowieka przykładającego podeszwę buta do pudełka lub skrzynki.

– Butowanie – zaczął się wykład – to neutralizacja szkodliwego promieniowania pochodzącego z dronów dostawczych przy pomocy...

– Dobra, Albert! – przerwałem niecierpliwie. – To wiem. Powiedz mi lepiej, dlaczego niektórzy NIE butują?

– Wszyscy butują.

– Jak wszyscy, jak nie wszyscy? – zezłościłem się.

– A zęby myjesz dlatego, że wszyscy tak robią, czy po to, żeby były zdrowe? – spokojnie spytał Albert.

Zacisnąłem wspomniane zęby. Od takich złotych myśli to ja miałem rodziców.

– Posłuchaj, Albert – wycedziłem powoli – to, co się mówi w tym domu, to wiem. To, że ty masz dobry słuch, to też wiem. Może byś się łaskawie wysilił i poszukał gdzieś dalej. Gazety, filmy, posty...!

– A na ulicy się rozglądasz dlatego, że wszyscy tak robią, czy po to, żeby nie wpaść pod autorobota?

Nie wytrzymałem i nazwałem Alberta kretynem.



Z przetworów babci Sylwii trochę się podśmiewano w rodzinie.

– Po co się babcia tak męczy, skoro wszystko można kupić w sklepie? – pytano.

Jednak ona niezmiennie tylko wzruszała ramionami i odpowiadała z uporem:

– Nie ma jak własne, kochani. Nie ma jak własne.

I tak dwa razy w roku – raz w środku lata, raz w środku zimy – trawnik w ogródku babci Sylwii zapełniał się czarnymi sześciennymi pudełkami wielkości budki dla ptaków. Stały tam tak długo, aż ich wnętrza nagrzały się maksymalnie lipcowym upałem albo wyziębily od styczniowego mrozu. Wtedy babcia starannie zamykała je szczelnymi pokrywkami i układała na regałach w komórce. Kiedy na dworze robiło się chłodno, stawiała w kącie pokoju pudełko z letnim przetworem i lekko odkręcała zaworek. Ciepła starczało na zadziwiająco długo. Przetwory zimowe z kolei dawały rozkoszną ochłodę w skwarne dni lata. Ważne było tylko, żeby jednych z drugimi nie pomylić.

Siedziałem na rozgrzanym w słońcu tarasie dziadków, brałem ze stosu po jednym pudełku i naklejałem na każdym karteczkę z napisem „Ciepełko 2185”.

– Babcia... – zagadnąłem znienacka.

Babcia podniosła wzrok znad arkusza, z którego wycinała nalepki.

– Słucham.

– Chciałem cię o coś zapytać.

– Śmiało – uśmiechnęła się.

– No bo jak ci przywożą do domu zakupy, to je butujesz, prawda? Chyba ją trochę zaskoczyłem.

– Oczywiście – powiedziała ostrożnie. – Wszyscy butują. Inaczej by nas promieniowanie zżarło.

Spytałem, skąd wie. Odparła, że po prostu, że to przecież oczywiste. Ale skąd? – naciskałem.

Babcia się zadumała. Przez chwilę wyglądała, jakby czegoś szukała w pamięci, ale w końcu dała za wygraną.

– Nie mam pojęcia – mruknęła. – A ty skąd wiesz, że trzeba myć ręce? Rodzice butowali, to i ja butowałam. Pamiętam, jak się raz mojemu bratu oberwało z tego powodu. – Babcia uśmiechnęła się na to wspomnienie i zaczęła opowiadać: – Była zima i przyleciał dron z przesyłką. Krzysiek ją odebrał i położył na podłodze w przedpokoju. Postawił na kartonie zaśnieżone buciory i poszedł sobie. Śnieg z butów roztopił się, przeciekł przez teksturę i zniszczyły się jakieś bardzo drogie pantofelki, które sobie twoja prababcia zamówiła na bal karnawałowy. Ależ była w domu awantura! Nie wiem, co Krzyśkowi strzeliło wtedy do głowy. Przecież wisiał na haczyku suchy...

– Ale babcia! – przerwałem, bo coś mi się zaczęło nie zgadzać.

– Po co butować buty?

– Żeby odpro... – zaczęła babcia, ale chyba i do niej dotarło, że coś jest nie tak. – Ano rzeczywiście! – zastanowiła się. – Skoro buty odpromieniowują, to po co je odpromieniowywać? Ciekawe, że w ogóle wcześniej o tym nie pomyślałam. Wiesz co? Najlepiej zadzwoń do pradziadka. Coś mi tłumaczył w dzieciństwie, ale nie za wiele zapamiętałam. Na pewno się ucieszy. Pewnie mu tam trochę tęskno w tych jego kosmosach. A tak z innej beczki: masz już garnitur na urodziny zielonego dziadka?

– Nie idę w żadnym garniturze! – burknąłem i wróciłem do oklejania ciepłych.



– Albert, połącz mnie z pradziadkiem – poprosiłem, kiedy wreszcie zebrałem się na odwagę.

Pradziadek dużo podróżował. Rzadko go widywałem. Miał w rodzinie opinię dziwaka i, prawdę mówiąc, trochę się go bałem.

– Zwracam uwagę, że masz ich czterech – zauważył jak zawsze pedantyczny Albert.

– Z pradziadkiem Krzysztofem – prychnąłem niecierpliwie.

W ostatniej chwili przypomniałem sobie, żeby zdjąć nogi z biurka i przyczesać grzywkę.

– Alluuuu, dzień dybry, z kim mam przyjemność? – odezwał się z daleka basowy śpiewny głos.

W rodzinie nie przesadzano. Pradziadek lubił żartować. Wyobraziłem go sobie w różowych okularach wielkości kółek od

hulajnogi i z papierową piszczałką w zębach. Wyobraziłem, bo pradziadek nie włączył kamerki.

– Dzień dobry, mówi Krzysiek – powiedziałem trzęsącym się głosem.

Nastąpiło długie milczenie i już myślałem, że coś się przerwało na łączach. Ale nie. Usłyszałem chrząknięcie i pradziadek zamruczał z namysłem:

– Zaraz, zaraz, niech pomyślę. Mam syna Krzyśka, wnuka Krzyśka i prawnuka Krzyśka. Do tego jeszcze siebie Krzyśka. To ty jesteś który? Chyba nie ja, co?

– Nie, nie – zapewniłem gorąco. – Ja jestem ten prawnuk.

Po drugiej stronie zachichotano.

– Wiem, wiem, żartuję. Nie jestem jeszcze aż tak stary, żeby nie poznać po głosie własnego prawnuka. No, co tam słyhać? Wybierasz się na urodziny zielonego dziadka?

– Chyba tak, ale...

– O, no to świetnie! – ucieszył się pradziadek. – Bo ja to raczej nie dam rady. Wiesz, trochę za daleko odleciałem. A jak tam w szkole?

– Dobrze – mruknąłem. – Bo ja właściwie chciałem...

– A masz już sympatię? Ładna jest?

Całe szczęście, że nie było kamerki. I że przez telefon nie słyhać, jak czerwienieją uszy.

– Co ty, dziadek! – zachnąłem się. – Ja nie mam czasu na takie rzeczy! Strasznie jestem zajęty.

– Czym niby?

Pomyślałem, że jeżeli chcę się od niego czegokolwiek dowiedzieć, to to jest ten moment.

– Kazali nam przygotować prezentację o butowaniu – zmyśliłem. – Przyszło mi do głowy, że zapytam, jak to było z tym butowaniem za dziadka czasów.